



Andriej Diakow "Do światła" (fragment 1)

Fahrenheit Crew

Andriej Diakow „Do światła”

z rosyjskiego przełożył: Paweł Podmiotko

FRAGMENT PIERWSZY: „Polowanie”

Czarny cień żywo przemknął po ponurym pochmurnym niebie. Przecinając powietrze trzymetrowymi błoniastymi skrzydłami, pteranodon majestatycznie przeleciał nad ruinami obwodnicy Petersburga. Żyłaste ciało co chwila przeszywał dreszcz w oczekiwaniu na poranny posiłek, a potworna głowa kręciła się niespokojnie, wypatrując na powierzchni ziemi oznak życia. Pteranodon złapał sprzyjający podmuch przenikliwego jesiennego wiatru i poszybował nad wyschlę koryto Newy. Pod czujnym spojrzeniem gada z ogromną prędkością przesuwały się wraki samochodów, zwały śmieci, fragmenty zbrojeń budynków, wyszczerbione filary dawno zburzonych mostów – żelbetowe dzungle, pozostawione w spadku przez dawnych „panów życia”...

Jeszcze kilka machnięć skrzydłami... i w dole zamigotały żyłki torów kolejowych, tu i ówdzie wyzierających spod brunatnego mchu. Nad stacją Sortirowoczną drapieznik z przyzwyczajenia zatoczył kilka kręgów w nadziei, że dojrzy dwunogą zdobycz. Wcześniej te dziwne stworzenia często pojawiały się na dworcu kolejowym, kopiąc w zamrażniętej ziemi. Teraz o ich wizytach przypominały tylko wyłamane szyny i równe rzędy poprzecznych dziur – wszystkie podkłady kolejowe już dawno zabrano.

Pteranodon rzucił ostatnie spojrzenie na rzędy przeżartych rdzą wagonów i poleciał dalej, nad ruinami Prospektu Sławy. Na wpół zburzone domy, niczym zbocza kanionu, wskazywały drapieznikowi drogę. Porywy wiatru na próżno starały się zepchnąć latającego jaszczura z kursu. Ten pewnie sunął swoją trasą. Gad obniżył lot nad popękany asfalter i przyspieszył. Droga przed nim nurkowała pod Mostem Nowowołkowskim. Prostokątny prześwit mostu gęsto wypełniały lepkie nici gigantycznej pajęczyny rozpiętej przez nieznanego drapieznika. Pteranodon, jakby się naśmiewając, jeszcze przyspieszył, złożył skrzydła i wydając ostry krzyk, z ogromnym impetem staranował przeszkodę. Postrzępione brzegi powstałej wyrwy zatrzepotały na silnym wietrze, a z głębi pajęczyny na oddalającego się skrzydlatego jaszczura spojrzęła jednaście wściekłych oczu pechowego myśliwego. W szarym przedświcie obłąkanego nowego świata wciąż trwało szalone nowe życie...

Tymczasem bestia dotarła nad plac Moskiewski, zniżyła się nad masywny pomnik i miękko osiadła na wyciągniętej ręce „wodza światowego proletariatu”. Pteranodon podreptał w miejscu, po czym usadowił się wygodnie i zamarł w oczekiwaniu, uważnie obserwując wyjście z „nory” – zawałonego przejścia podziemnego prowadzącego na stację Moskiewską. Właśnie tu skrzydlaty jaszczur niejednokrotnie widział wylazących spod ziemi dwunogów. Całkiem niedawno udało mu się nawet uraczyć jednym z nich. I teraz postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia. Na wspomnienie zapachu słodkiego, ciepłego mięsa ciało gada znów przeszył dreszcz...

W następnej chwili coś huknęło ogłuszająco. Niespodziewany dźwięk dudniąc poniósł się po placu, odbijając się wielokrotnie od wyszczerbionych ścian domów. Drapieżnik już tego jednak nie słyszał – głowa pteranodona rozpadła się na drobne kawałki, a z wyprężonej w śmiertelnej agonii szyi bryznęła potężna struga krwi, ochlapując oszronioną powierzchnię cokołu.

W oknie szóstego piętra stalinowskiego budynku naprzeciwko placu można było dostrzec ruch. Mignęła sylwetka rosnącego człowieka w masce przeciwgazowej i w workowatym skafandrze ochrony chemicznej, pracowicie rozkręcającego karabin snajperski z ogromną lufą. Po paru minutach mężczyzna, rozglądając się na boki, wyszedł głównym wejściem i omijając zwały śmieci, niespiesznie skierował się w stronę placu. Trup pteranodona jak bezkształtna góra mięsa leżał u podnóża pomnika. Z pokrowca na pasku myśliwy wyjął przerażających rozmiarów nóż, przymierzył i jednym celnym ciosem odciął od skrzydła mutanta kostny wyrostek. Mężczyzna schował trofeum do kieszeni kamizelki, zdjął z ramienia kałacha i przyjął wyczekującą pozycję. Z przejścia już wychyłała grupa okutanych szarymi szmatami ludzi z sankami i bosakami. Stalker przyjrzał się, jak jego współplemieńcy pospiesznie zaciągnęli masywną tuszę potwora do westybulu stacji, po raz ostatni obrzucił okolicę uważnym spojrzeniem i zszedł pod ziemię. Nieliczne promienie słońca przecisnęły się przez szczeliny w zasłonie ponurych chmur i nieśmiało oświetliły ruiny Moskiewskiego Prospektu. Nad Piterem wstawał dzień...

* * *

- Ej, sierota, nie idziesz zobaczyć stalkerów?

Cherlawy około dwunastoletni chłopak z językiem nierówno ostrzyżonych włosów popatrzył w ślad za biegnącymi dziećmi i ocknąwszy się nagle, rzucił się za nimi. Nie, nie obrażał się za to określenie. Sierota to ten, kto nie ma rodziców. A on miał. I to jakich! Po prostu są teraz w raj. Kiedyś tata przed snem często opowiadał mu o raj. Tam jest świeże powietrze, dużo zieleni i czystej wody, błękitne niebo... Gleb zwykle wyobrażał sobie tak rodzimą Moskiewską, całą pokrytą sadzonkami ziemniaków i baliami z wodą, a zamiast smolście czarnej sadzy na suficie – mnóstwo, mnóstwo niebieskiej farby...

Gleb podbiegł do gromady dzieci, przecisnął się do przodu i stanął obok kulawej Naty, dziewczynki z sąsiedniego trzeciego namiotu.

- Patrz, Gleb, idą! - Dziewczynka jak zwykle oparła się o troskliwie nadstawione ramię towarzysza zabaw, rozluźniając nedorozwiniętą nóżkę.

Przed nimi działo się coś niezmiernie interesującego i strasznego zarazem. Spod blach byle jak skleconego pudła, pełniącego funkcję komory śluzy, wydostawały się obłoczki pary. Nazywało się to pięknie i tajemniczo dezynfekcją. Wreszcie drzwi z okropnym zgrzytem rozwarły się na oścież. Wszedł wujek Sawielij, usunął z przejścia szlauch dostarczający środek czyszczący i odsunął się na bok... W drzwiach ukazała się masywna postać stalkera. Ogromne buty, imponujących rozmiarów ładownica opasająca tułów, równie ogromne ręce i kaptur, w którego cieniu nie dało się rozpoznać twarzy...

Gleb przyglądał się chciwie całej postaci nieznanego. Kiedy ten odrzucił kaptur, dzieciarnia chóralnie westchnęła. Gość wcale nie był szkaradny, na jego z gruba ciosanej, pokrytej szczecina twarzy nie było blizn, ale we wzroku stalkera dało się odczytać coś nieuchwytnego, od czego człowiekowi robiło się nieswojo. Coś pokrewnego uczuciu, które powstaje, gdy macasz na oślep w

poszukiwaniu latarki, a trafiasz na coś śliskiego, wijącego się i gotowego wgrzyźć się w wyciągniętą rękę. Od stalkera biło nieujarzmioną siłą... A jednocześnie w jego ciężkich krokach była jakaś rezygnacja. Tak jakby nadchodził zmęczony życiem starzec.